

Polski labirynt

Rozmowa z Januszem Andermanem, pisarzem opozycyjnym z Kraju, którego sztuka „Labirynt” będzie wkrótce miała premierę w Teatrze Nowym w POSK-u.

T. Karren: — Ostatnio był Pan w Londynie dwa lata temu. A tym razem jest Pan tu na długo?

J. Anderman: — Nie, na chwilę. Pokręcić się trochę o mieście. Zobaczyć parę osób, których nie można spotkać w Warszawie. I wracam.

— 18 września Teatr Nowy w POSK-u będzie miał premierę Pana sztuki.

— Raczej dwóch jednoaktówek pod wspólnym tytułem „Labirynt”.

— I nie zostaje Pan na premierze?

— Nie, kończy mi się wiza. Wizę brytyjską trudniej teraz dostać, niż paszport. Ale ktoś mi obiecał, że zarejestruje ten spektakl i przyśle mi kasetę. Będę musiał poszukać kogoś, kto ma video i zobaczę to w Polsce.

— Czytałam te dwie rzeczy. Bardzo smutne. Bohaterowie są w sytuacjach bez wyjścia. Rzeczywiście jest tak smutno w kraju?

— Wszystkim może nie jest tak smutno. Są tacy, którym jest wesoło. Ale mnie interesują właśnie ci przetrząśnięci ludzie. Nimi się nikt nie zajmuje, a takich jest wielu. To jest produkt stanu wojennego i jego konsekwencji. Ludzie w sytuacjach bez żadnego wyjścia i bez perspektyw. Pamiętamy na co dzień o „Solidarności”, o tym, że istnieje, że działa. To prawda, ale są jeszcze inne prawdy, o których chcielibyśmy może zapomnieć. Ludzie, których wolelibyśmy nie zauważać, bo psują nam samopoczucie. Ale jeśli chcemy mieć w miarę pełny obraz sytuacji w Polsce, to nie możemy pomijać prawd niepopularnych, bo ten obraz będzie zafalszowany. Ludzie, o których piszę, istnieją. Istnieją ich problemy nie do rozwiązania, z którymi oni borykają

Tamara Karren

się w samotności. Takich ludzi jest coraz więcej. Ludzi uwikłanych. Apatycznych, pogrążonych w letargu.

— To strasznie przygnębiające, co Pan mówi. Jak będzie dalej?

— Boję się, że ten letarg zamieni się w agresję. Boję się jakiegoś niekontrolowanego wybuchu. Bo czuję przez skórę, że może on niebawem nastąpić.

— To będzie drugi Sierpień?

— Chciałbym, ale wydaje mi się, że nie. Wolałbym być fałszywym prorokiem, ale wyobrażam sobie raczej drugi Grudzień siedemdziesiątego roku, bo tymi rozwścieczonymi ludźmi być może nikt nie zdoła pokierować. Lepiej o tym nie mówmy. I oby się te przeczucia nie sprawdziły.

— Od dwóch lat czytam w „Pulsie” serię nowych Pana opowiadań. Też przygnębiający obraz ludzi.

— Bo ludziom nie jest wesoło. Taka bywa Polska na co dzień, a nie od święta. Trudno wymagać od ludzi normalnych zachowań, jeśli tyle lat żyją w nienormalnej sytuacji. I nie zapominajmy, że od czasu wprowadzenia stanu wojennego minie niedługo siedem lat. Dwunastolatki stały się przez ten czas dorosłymi ludźmi, którzy nie wiedzą jak dalej żyć, czym się zajmować, gdzie mieszkać choćby. Niedawno czytałem w gazecie, że w Legionowie pod Warszawą czeka się na mieszkanie 178 lat. Coś koło tego.

To na marginesie. A wracając do tego, co powiedziałem: dla mnóstwa ludzi świąteczny okres „Solidarności” to już historia, albo mgliste wspomnienie z dzieciństwa. Oni nawet tego nie przeżyli. I nie widać przed nimi świątecznych dni. Więc nie wymagajmy za wiele od szarego, umordowanego człowieka. Ale też i nie idealizujmy go, bo co to komu da? Czytelnik będzie miał lepsze samopoczucie? I co z tego?

— Pana poprzednia książka, „Brak tchu”, ukazała się w przekładzie angielskim w Wielkiej Brytanii i w USA i miała bardzo dobre recenzje.

— Tak, ale martwi mnie to, że więcej sprzedano książek w wydaniu angielskim, niż w wydaniu „Pulsu”. Wszyscy się skarżą, że na Zachodzie opada fala zainteresowania Polską, ale co zrobić z faktem, że na emigracji czyta się coraz mniej? Bo gdyby dotyczyło to tylko mojej książki, to wiedziałbym przynajmniej, że to moja wina. Ale zjawisko jest szersze.

— A kiedy następna książka?

— Na początku przyszłego roku. Będzie to zbiór opowiadań, pod tytułem „Kraj świata”. Wyjdzie w Paryżu. No i mam nadzieję, że w kraju.

— Dziękuję za rozmowę i żałuję, że nie będzie Pana na premierze.

— Dziękuję, sam żałuję. I mam nadzieję, że niewesoły obraz Polski, jaki prezentuję, nie wywoła u części widzów takiej reakcji, jaką obserwowałem po emisji serialu telewizyjnego „Zmagania o Polskę”. Ta reakcja, pełna oburzenia, moim zdaniem niecałkiem słusznego, wynikała właśnie z tak zwanego „myślenia życzeniowego”, z tego że rzeczywisty obraz najczęściej rozmija się z obrazem wyidealizowanym, który ludzie w sobie noszą i nie godzą się na jego zakłócenie. Oczywiście nie mówię o głosach rzeczowej krytyki, a o zaciętrzewieniu.

— Jeszcze raz dziękuję.